

R E N.

*Widok Renu pod Laufenburgiem.*

Na śnieżystych wierzchołkach Alp, w tym wspólnym wodozbiorze Francyi, Włoch i Niemiec, znajdują się źródła Renu. Trzy wielkie potoki wypływające z okolicy gdzie także bierze początek Rodan, Tesin, Reuss i Aar, są głównemi żywiołami tej potężnej rzeki. Pierwszy zowie się Renem przednim, albo Renem niższym i wypływa z małego jeziora znajdującego się na wielkiej wysokości gór w zachodnim krańcu kraju Gryzonów. Drugi, zwany Renem środkowym, bierze początek w lodach góry Luckmanier, przy południowej granicy kraju Gryzonów i wpada w Ren przedni. Te dwa potoki połączone, tworzą dosyć znaczną rzekę. Trzeci, zwany Renem tylnym, czyli wyższym, wypływa z okolicy jeszcze bardziej małowodniej: są to same zaspy śniegów i zawaty

lodów. Pod miasteczkiem Reichenau, o mil kilkanaście od źródeł swoich, łączą się te trzy potoki i tracąc oddzielne nazwisko tworzą jedną rzekę. Ren szeroki jest w tym miejscu na 230 stop i już zaczyna być spławnym dla mnóstwa łodzi. Utagadzają się dzikie i ostre rysy jego krajobrazów; nie są już tak wspaniałe ale wdzięczniejsze i miłsze. Po gęstych i ciemnych lasach północnych, po obnażonych skałach, po złowroźnych lodowiskach, następują kwieciami ubarwione łąki, bogate żniwa, sady, winnice. Kraina którą ta rzeka ożywia, od miasta Coire aż do Mayenfeld, jest tak piękna iż ją zowią doliną Tempe Szwajcaryi. Od Mayenfeld aż do Jeziora Konstancyi, Ren odgranicza Szwajcaryę od państw Austryackich. W tej części biegu, znowu dzikszą postać przybie-

ra. Płynie bardzo bystro, toczy odłamy skały drzew, a przez to nie można żeglować po nim czołnami lecz tylko na tratwach. Wezbrany roztopami śniegów, wzbiera niezmiernie i pustoszy nadbrzeżne okolice. Przy upływie do jeziora Konstancyi, wody Renu już spokojniejsze, znowu służyć mogą do żeglugi. Wpadając do jeziora Konstancyi, przy jego wschodniej stronie, rzeka przepływa je wzdłuż, idzie pod murami miasta Konstancyi, a wyszedłszy z głównej części jeziora, wpada w część zwaną Untersee i ją także w całej długości przecina. Gdy już porzuci jezioro i ku zachodowi weźmie kierunek, Ren już wówczas na 750 stop szeroki, niesie ładzie obciążone towarami Niemiec, Włoch i Szwajcaryi; lecz w krótko zmiana gruntu znowu przerywa żeglugę, i tworzy jeden z najwspanialszych obrazów na całym świecie. Za miastem Szaflużą, rzeka skręca się nagle ku południowi, jak gdyby chciała powrócić do Szwajcaryi. Lecz zaledwie w tym kierunku pół mili ubiegła, zaczyna bystrzej płynąć; łoże się zwęża, głązy wystają ze wszystkich stron i rozbijają fale płynące w skalistym korycie. Wody tém bystrzej i burzliwiej płyną, im bardziej zbliżają się do ogromnej skały na której wierzchołku stoi zamek Laufen; tam urywa się nagle pokład skał po którym toczyły się fale, a cała masa rzeki spada z wysokości stop 70. Na samym krańcu przepaści, tawa skalista wystawia u góry trzy słupy wśród rzeki. Nie podobna odmalować, z jak wściekłą gwałtownością, wody zatrzymane w najbystrzejszym pędzie, biją o te zapory, z jak przerażającą szybkością przesuwały się po obudwu stronach tych grobel, których przez tyle wieków jeszcze wzruszyć nie zdołały! Rozbite wody, zamieniają się w kurzawę, w pianę i krople deszczu i skrapiają okoliczne skały, ale ta kurzawa, ta piana, te krople spadają na ostatek w otchłań, w której masa rzeki burzy się z przerażającą mocą. O dwie mile od Laufen, huk głuchy już zapowiada wodospad. Wodospad ten, najpiękniejszy i największy w całej Europie, ściąga licznych miłośników natury i przez to jest źródłem znacznego dochodu dla mieszkańców Szafluży. Zmienia się jego widok, stosownie do pory dnia i roku. Najwspanialszym jest w porze roztopu śniegów; wówczas bowiem, wody znacznie wezbrane, odbijają się jak najświetniej. W porze, gdy słońce wzbiszy się w górę, rzuca promienie swoje na kataraktę, połyski światła przecinając się na wszystkie strony z kroplami deszczu, tworzą zachwycający widok, a przepaść okazuje się oświetloną tysiącem kolorów tęczy. Obraz zmienia się i większej nabiera uroczystości gdy noc zapada, gdy już z trudno-

ścią dojrzeć można pęd wód, a huk zdaje się być poważniejszym i straszliwszym.

Niektórzy, lubią oglądać wodospad przy świetle księżyca; sprzeczność między ciszą przyrodzenia a rykiem fali, ma wówczas niewymowny powab.

Żegluga na Renie przerywa się o pół mili przed kaskadą i dopiero przy zamku Warth, poniżej wodospadu, znowu się zaczyna. Liczne strumienie i rzeki: między nimi najznacniejsza rzeka Aar powiększają masę wód jego. Pod Lauffenburgiem Ren nowo stawia zapory i niebezpieczeństwa. Znowu zwęża się w korycie, a skały granitowe tworzą drugą chociaż nie tak wielką kaskadę. W tém miejscu trzeba także towaru na ład wykładać. Ren płynie dalej ku zachodowi, między księstwem Badeńskim a Szwajcaryą, lecz znowu zwraca się w głąb tej ostatniej krainy, skrapia miasto i część Bazylejskiego kantonu. Dopiero pod murami tego miasta, ostatecznie biorąc kierunek ku północy, opuszcza ziemię Helwetów. Szeroki jest wówczas na stop 600, głęboki na 10 do 12 st.

Porzuciwszy Szwajcaryą, Ren staje się rzeką Francyi i Niemiec i płynie przez kraje zupełną i starodawną szczytując się cywilizacją, przez okolice, których doliny nie są tak zapadłe a góry nie tak wysokie; pozbywa się powoli swoich tak uderzających i malowniczych krajobrazów, i przerzyna nie tak szczytne ale ładniejsze i miłsze okolice. Sztuka hojnie go uposaża, starożytne i sławne miasta stoją nad jego brzegami, a chociaż nie ma już wodospadów, pyszni się ze swoich mostów. Zaczawszy od Bazylei, płynie przez 46 mil francuzkich między Francją a W. Xięstwem Badeńskim. Posiany na tej przestrzeni niezliczonymi wyspami, rozlewa się na 1100 stop szerokości; lecz zmienia się jego głębokość a żegluga dosyć jest trudna. Zaczawszy od Lauterburga, oddala się od granicy Francyi, a wsporniki miasta Niemiec ozdabiają obadwa brzegi Renu.

Na jego powierzchni unoszą się niezliczone statki i tratwy, a szerokość przenosi stop 1200. Zastósowane do wielkości rzeki, tratwy te są zbudowane w olbrzymiej proporcji i wyglądają jak pływające miasta, na których żyją liczne rodziny, razem z bydłem domowem. Podróż trwa tak długo, jak stątek, któren przedawany częściami co raz się zmniejsza; osada zaś wówczas dopiero wysiada na ład, gdy ostatni pas środkowy będzie sprzedany.

Od miasta Bingen na granicy wielkiego księstwa niższego Renu, zaczyna się sławna kraina zwana Rhingau. Tam Ren rozwija całą wspaniałość. W otwartej płynącej dolinie, ma 1800 stop szerokości. Już w Szwajcaryi brzegi

jego uwieńczone były winnicami, lecz wina z doliny Rhingau dochodzą do najwyższego stopnia wziętości; tam znajduje się sławne Johannisberg. Krajobraz jest wspaniały i okazuje pomysłny stan mieszkańców. Nad brzegami, wszędzie leżą piękne wioski, domy, winnice i sady.

Za doliną Rhingau zmienia się scena. Ren ma tylko 1200 stop szerokości, ścisną ją dwa pasma gór, międzyktóreimi płynie. Na wierzchołkach skał stoją stare kaplice albo ruiny zamków. Pod miastem Kolonia, kraj staje się płaskim a rzeka płynie ku Holandji przez prowincje Kliwii i Bergu. Brzegi niezém już nie zajmują oka.

Tylko co wpłynię na ziemię Holandji, rzeka rozdziela się na kilkanaście odnog, z których jedne wpadają do morza północnego, drugie do jeziora Zuyderzee i tworzą nieprzebyte labirynt wysp i kanałów.

Ren od wieków ważnym jest pod względem politycznym jako granica krajów, jako linia działań wojennych, użytecznym jest dla handlu, gdyż rzeki wpadające do niego i kanały ułatwiają związki kupieckie. Wody Renu są bardzo czyste, jak to wskazuje jego nazwisko, z dawnego Germanów języka powzięte. Ludy bałwochwalcze mieszkające niegdyś nad jego brzegami oddawały mu cześć religijną.

WIOŚLARZ Z OHIO.

(Zarys obyczajów Amerykańskich).

Przed kilkoma laty, popłynąłem statkiem parowym z Pittsburg do Cyncynati. Urodziłem się nad brzegami rzeki Ohio i wspomnienia mojej młodości nie mi nie przyprowadzały na myśl, procz małych czołen dzikich krajowców, którzy corocznie prowadzili do portu Pitta ładunki futer i tłuszczu niedźwiedziego. Później, widziałem płaskie łądzie, mogące walczyć z pędem wody; a w kilka lat potem, wielkie statki z Ohio i Missisipi, rozszerzyły handel w zachodnich Ameryki krainach.

W epoce gdy się udał do Cyncynati, statek parowy kilka razy dopiero płynął z tego miasta do Pittsburg i głooszono powszechnie, że ten sposób żeglugi nie uda się na rzece Ohio. Powodowany ciekawością, czyli statek parowy będzie mógł korzystnie opierać się pędowi wody, odbyłem tę podróż. Statek płynął tak szybko jak strzała. W kilka godzin osiągnął Katarakt Letort, gdzie zazwyczaj wysiadali podróżni, lecz zbliżając się do brzegu, zaważdził o ogromny torzeń drzewa. Sternik usiłował przebyć tę przeszkodę.—, „W ty! w ty! zawołał głos na ładzie. Pomagajcie

sobie drągami i bosakami, albo uwięźnicie ze szczętem.“

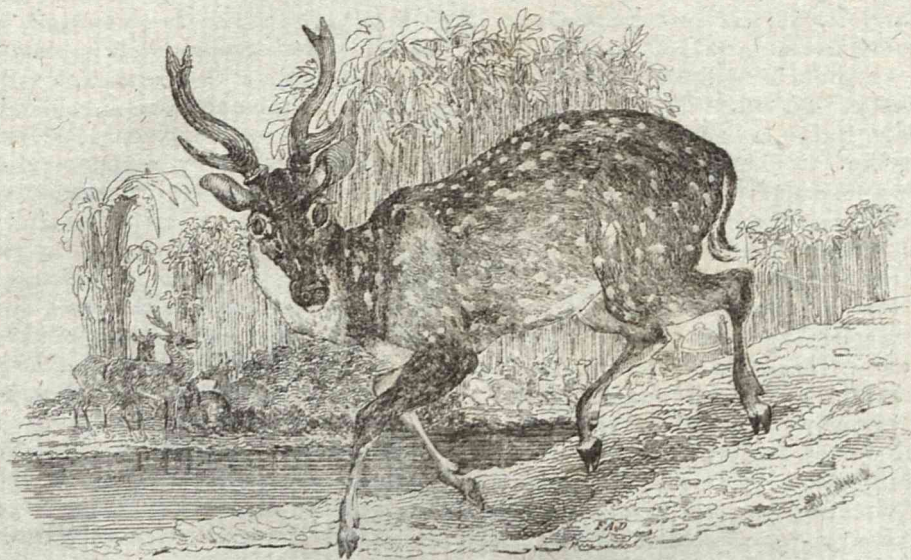
Radosnym okrzykiem powitano tego który nam dał tę radę. Poznałem wówczas Higfielda, jednego z moich najdawniejszych towarzysów, z którym liczne odbywałem podróże. Stał oparty od niechcenia o pień dębu. Jego wysoki wzrost, strzelba którą trzymał w lewej ręce, męzka twarz, nosząca ślady ostrego i pracowitego życia, szlachetna postawa, zwróciły uwagę wszystkich podróżnych. Była to w rzeczy samej postać godna pędzla Salwatora Roza. Jego fizyonomia tchnęła spokojem, cera ogorzała od słońca, a muszkuły z stwardniałe nawykniem do trudów; chociaż liczył lat przeszło piędziesiąt; włosy miał czarne jak skrzydło kruka i posiadał czerstwość młodzieńczą. Miał na sobie surdut myśliwski z niebieskiego sukna, obsyty zieloną taśmą, mokassiny na nogach, skórzane spodnie i nóż myśliwski za pasem.

Statek przebył zaporę, a podróżni zaczęli wysiadać na ład. Skoro tylko stanąłem na brzegu, Higfield zbliżył się do mnie i powitał mię. — „Jak się macie? rzekłem... — „Zdrów. A wy? odpowiedział i chwyciwszy mię za rękę ścisnął tak silnie na znak przyjaźni, jak żelaznemi kleszczami.

—, „Cieszę się że was spotykam, rzekł tonem prostej uprzejmości. Chceciez pojsdz z nami? będziemy strzelać do cynowego garczka.

Zrozumiałem Higfielda. W każdym innym razie byłbym odradzał tak niebezpieczną zabawę, ale będąc w towarzystwie dwóch Anglików, którzy kraj nasz zwiedzali, chciałem pokazać im jedną z najciekawszych rozrywek naszych osadników zachodnich.

Higfield z towarzyszami postąpił kilkanaście kroków od brzegu i utknąwszy drąg w ziemi wbił w niego gwóźdź na dwie części długości. Strzelcy stanęli o piędziesiąt kroków. Pięć wystrzałów nie trafiło wcale: sześć kul dotknęło gwóźdź i zwinęło go, ale kula Higfielda ugodziła gwóźdź w samą głowę, i wbiła go w deskę. Okrzykami uczczono ten dowód zręczności. Gdybyśmy mieli czas wolny, Higfield byłby pokazał naszym cudzoziemcom, zręczność w polowaniu na wiewiórkę, w tej ulubionój rozrywce myśliwców z Kentucky. Biegły strzelec nie mierzy do zwierzęcia, lecz w gałąź na której siedzi wiewiórka; kula odrywa gałąź a to nagłe wstrząśnienie zabija zwierzę. Higfield nie mógł także okazać nam jak zręcznie ucina knot świecy, kulą karabinową, nie gasząc światła. Lecz Anglicy mogli przynajmniej bydź świadkami strzelania do cynowego garczka. Silny wioślarz, brat Higfielda, stanął o trzydzieści kroków od nas, i obróciwszy się



JELEŃ AXIS.



twarzą do brata, wziął garczek cynowy wiszący mu u pasa i postawił go na głowie.

Higfield wyczyściwszy jak najstaranniej wnętrze lufy, wziął kulę w dłoń, nasypał tyle prochu aby zupełnie była przykryta, a potem nabił. Chociaż nieraz byłem świadkiem tej niebezpiecznej rozrywki, dreszcz przeniknął mię wskrós, a towarzysze moi przestraszeni niebezpieczeństwem na które narażał się wioślarz, usiłowali oderwać Higfielda od jego zamiaru. Lecz on nie zważając na ich nalegania i prośby, postawił w tyle nogę lewą, a wlepiając oczy w brata, z wolna podniósł strzelbę do wysokości jego głowy. Przez kilka chwil zatrzymał broń w tém horyzontalnym położeniu, tak niewzruszoną, jak gdyby silna ręka co ją trzymała, była wyrobiona z głazu. — „Mierz trochę niżej bracie, albo zapłacisz zakład: zawołał wioślarz z zadziwiającą krwią zimną.

Nie wiem czyli usłuchał tej rady, lecz natychmiast usłyszeliśmy wystrzał, a cynowy garczek odleciał o kilkadziesiąt kroków, przedziurawiony kulą. Powstał krzyk uwielbienia i radości, a dwaj Anglicy pobiegli do odważnego wioślarza, patrząc czyli nie jest zranionym. Nic mu nie było i stał niewzruszony na miejscu. Gdy kula ugodziła w naczynie, nawet nie zamknął oczu. Jego towarzysze nazwyczajeni do tej rozrywki, uważali ją za rzecz bardzo pospolitą.

Powrócili po tém na łódź swoją i oddalili się od nas.

Higfield był wiernym wzorem tych odważnych wioślarzy którzy przed zaprowadzeniem statków parowych, przewozili wszystkie ładunki z prowincyi zachodnich, lecz teraz nie mogąc wytrzymać współubiegania, porzucili swój sposób do życia i przenieśli się w inne strony. Trudno pojąć, jak mogli znaleźć się ludzie, którzy za biedną zapłatę chętnie porzucali rolnicze prace i poświęcali się rzemiosłu wioślarza, wystawionemu na tyle trudów, nędzy i niebezpieczeństw. Nic bardziej nie może zniszczyć zdrowia i przyspieszyć kresu życia, jak ciężkie prace wioślarzy. Niepodobna ich sobie wyobrazić, zwłaszcza gdy trzeba płynąć pod górę rzeki mającej niezliczone zakręty. Statek popychać muszą długimi żerdziami, opierając je z całej siły o piersi. Musiał posiadać nie pospolitą czerstwość ten, kto zdołał takie trudy wytrzymać. Ci ludzie, z pochylonym grzbietem i głową dotykającą się podłogi, byli podobni do wołów ciągnących wóz ciężko obciążony. Obnażeni aż do pasa dla chłodu i łatwiejszego ruchu, wystawieni byli na skwar słoneczny w lecie i na długie deszcze jesienne. Gdy przez cały dzień pchali statek, dawano im nędzną porcją wódki, a po biednej wieczerzy składającej się z mięsa na pół spalonego i z czarnego chleba, kładli

się na statku, na gołych deskach i kilkogo-dzinnym snem orzeźwiali wycieńczone siły. O świcie budziła ich świstaczka sternika, a wypiwszy kieliszek wódki wracali do zwy-czajnej pracy.

Tym to statkom powierzali kupcy ame-rykańscy najbogatsze ładunki, mając zaję-dyną rękojmą podpis sternika, który nie nie posiadał prócz swego statku, irzadko się zdarzało aby ich zaufanie zdradzone było. Pomiędzy temi wioślarzami, Higfield zna-mienite miejsce zajmował. Wyższém ob-darzony pojęciem, w jakimkolwiek stanie byłby miał górę nad innemi. Higfield łą-czył siłę Herkulesa z pięknością rysów; od dzieciństwa nawykły do wszelkich niebezpieczeństw, nadzwyczajnie był od-ważny i sława jego rozciągała się od Pitts-burga aż do Nowego Orleanu.

W kilka lat po mojej podróży do Cincin-nati, udałem się do Nowego Orleanu, stat-kiem parowym. Sternikiem naszym był znany mi właściciel łodzi, które wprzód-y ułatwiały handel w tych stronach. Zapyta-łem go o los dawnych towarzyszków.

„Gdyśmy postrzegli, odpowiedział, że nie możemy ubiegać się z parowemi statka-mi, porzuciliśmy nasze rzemiosło: ci którzy mieli więcej znajomości sztuki, zostali sternikami na statkach parowych, wielka część przyłączyła się do karawan handlujących z Indyanami, inni nareście zajęli się rol-nictwem.

— „A cóż się stało z moim starym przy-jacielem Higfieldem?

— „Higfield, odpowiedział, zginął w po-śród wszczętej kłótni. Zniewolony porzu-cić swój stan, nie chciał przyjąć obowiąz-ków sternika, a czując że nie zda się do uczywilizowanego społeczeństwa, poszedł w lasy Missuri. W rok potem, gdy rozmar-zony trunkiem strzelał do cynowego garcz-ka, wymierzył za nisko i na miejscu zabił swego towarzysza. Jeden z przyjaciół za-bitego, posądzając Higfielda że to na umy-ślnie uczynił, położył go trupem.

JELEŃ AXIS.

Jeleń axis, czyli *Jeleń z nad Gange-su* podług Buffona, żyje w Indostanie a zwłaszcza w Bengalu, a chociaż jego naz-wisko znajduje się w Pliniuszu i innych autorach starożytnych, jednakże wzmian-ka tak jest krótka, iż nie można z pe-wnością wiedzieć, czyli o tém zwierzęciu mówić chcieli. Axis z postaci podobny jest do daniela, sierść ma jasno płową z bia-łymi centkami na bokach i na grzbiecie; podbródek, brzuch i szyja są białe; ogon

długi na dziesięć cali jest biały pod spo-dem, płowy z wierzchu i oznaczony czar-nemi pasami.

Obyczaje dzikiego Axis nie są dobrze wia-dome; od niejakiego czasu widzieli go można w wielu menażeryach. Rozmna-żają się w stanie domownictwa, są żywe i wesołe.

S Z Y L L E R

(dokończenie)

Po dwunastu latach przerwy, Szyller wró-cił nareście do scenicznego zawodu. Już wszystko się w nim zmieniło, oprócz pię-knej i szlachetnej duszy która w młodości mylną obrała drogę. Jego wyobrażenia o sztuce już nie były też same; głębok-o zastanawiał się nad wzorami, nauczył się z zimną krwią uważać ludzi i społeczność, nauczył się znać przeszłe czasy i porówny-wać je z czasem obecnym. Co raz to bardziej uszlachetnił ten świat poetyczny, w któ-rym żyła jego wyobraźnia i wziął zupełnie odmienny moralny kierunek.

Pisząc historią wojny trzydziestoletniej, powziął zapewne myśl poematu dramatycz-nego *Wallenstein*. Dziełu temu poświę-cał nie mało czasu i pracy. „Doznając, pi-sał do przyjaciela, rzeczywistego udręcze-„nia, gdy myślę o mojej tragedji Wallen-„stein; będę jej musiał poświęcić siedm lub „ośm miesięcy życia, którego trwonić nie „powinienem i może na ostatku zrobię złą „sztukę. Pierwsze moje utwory drama-„tyczne nie wzbudzają we mnie odwagi. „Wchodzę w nieznaną zawód, gdyż od lat „kilku przyjąłem zupełnie nowysystemat.“

Czytał stare kroniki dla obeznania się z duchem i językiem dawnych czasów; obeznał się nawet z astrologią: gdyż jak wiadomo, Wallenstein wierzył w tę prze-sadną naukę.

Lecz mimo zamiłowania które czuł dla Szekspira, a niechęci do tragedji francuz-kich, nie mógł uniknąć wpływu epoki w któ-rzej żył, ani zastosować się do Szekspira jak do klasycznego wzoru. Wallenstein mało ma podobieństwa do tragedji angielskich. Zapewne Szekspir nie byłby zrobił trzech od-dzielnych części ze swojego przedmiotu; nie mogąc objąć go w jednym i obszernym zakresie. Wystawmy sobie że Szekspir ma-luje tę samą historyczną epokę. Pośród grubych obyczajów swego wieku, pisząc ję-zykiem którym jeszcze nie znał piętna wy-kształconego towarzystwa, nie by mu nie przeszkadzało do odmalowania w wielkich rysach, obrazu *Wallenstein*; kilka scen rzuconych tu i owdzie, byłoby nam wysta-

wiło charakter żołnierzy; zepsucie wodzów i ich intrygi byłyby wskazane pośród nieprzerwanego postępu zdarzeń, a charakter Wallensteina skreślony z równą prawdą, nie byłby postradał cokolwiek ze swojej wielkości, przez rozprawianie nad sobą samym.

Szyller utworzył swój dramatyczny poemat o Wallensteinie z trzech następnych i oddzielnych części. Pierwsza jest prologiem bez akcji i bez rozwiązania, ale przedstawia najprawdziwszy i najtrafniejszy obraz życia i charakteru żołnierza, jaki się utworzył przez lat szesnaście ciągłych wojen. Wszystko przypomina tam epokę którą chciał malować, wszystko zgadza się z barwą czasu, a jednakże wszystko jest głębokim wszystko nosi cechę tej wiecznej i powszechnej prawdy, stanowiącej urok dramatycznej sztuki. Któż z nas, pośród wielkich wojen z Napoleonem co tak długo wstrząsały Europę, nie poznał mniej lub więcej tych obozowych obyczajów które Szyller skreślił? Powab tak wesołego, przygodnego i nie przewidującego życia, tak ożywionego wzruszeniem niebezpieczeństw, tak miłego przez bezczynność, to zaufanie w siłę swojej, ta karność zastępująca wszelkie prawa, to poświęcenie się dla wodzów, stawione w miejscu wszelkiej moralności, wszystko to tworzyło wielki i uderzający obraz. *Pikolomini*, druga część Wallensteina, nie mają także ani akcji ani rozwiązania i są owocem potrzeby odmalowania charakteru osób i miejsca. Znajomość serca ludzkiego, okazuje się również w obrazie wodzów, jak żołnierzy.

Po tych przygotowaniach, przystępujemy do głównej akcji, oswojeni z osobami i okolicznościami, a wtedy tragedia ta nie wiele różni się zewnętrznym kształtem od tragedii klasycznej, lecz bardzo różni się duchem swoim. Wszystko bowiem ściąga się do malowania charakterów. Położenia dramatyczne wzbudzające tak głębokie wzruszenie, napotyka się w ciągu zdarzeń, lecz nie są węzłem dramatu.

Te trzy sztuki sceniczne, tworzące poemat *Wallenstein*, posiadają wzrastające zajęcie, odmienne zupełnie od tego, którego doznajemy przy tragediach szkoły francuskiej, lecz które także ma władzę swoją i urok. Zdaje się, iż widzimy jak zwolna rozwija się przed nami pasmo naturalnych wypadków, których znamy przyczyny, których skutek przewidujemy. Przymiotem dramatycznego talentu, jest to, że umie tworzyć i ożywiać osoby, dać je poznać widzom: a któryż poeta posiadał ten talent w większym stopniu od Szyllera? *Wallenstein* wystawiony był na teatrze Wejmarskim w 1793. Goethe był utworzył ten teatr i nim kierował. Wejmar, miaste-

czko 6,000 ludności mające, było stolicą dworu na którym panowało najprawdziwsze upodobanie w pięknych naukach. Goethe posiadał względy zięcia i jego matki, zięćniej obdarzonej najpiękniejszemi przymioty. Herder i Wieland osiedli w Wejmarze. O trzy mile z tamąd w tym samym okręgu jest sławny uniwersytet w Jenie. Sprawy małego kraju, rządzonego po ojcowsku i patryarchalnemu, nie wiele zabierają czasu. Wojna jeszcze była nie dosięgła środka Niemiec. Prowadzono zatem na dworze Wejmarskim jak najprzyjemniejsze życie, ożywione zapałem do nauk i sztuk pięknych. Publiczność w teatrze nie składała się z burzliwego tłumu jak w wielkich stolicach, którego zdanie i przychylność pozyskać, miłą jest ale razem niebezpieczną rzeczą. Był to jakoby teatr domowy, na którym aktorowie i artyści pewni wzajemnej życzliwości, oddawali się swobodnie natchnieniem talentu. Goethe czynił na tej małej scenie jak najbardziej urozmaicone proby. Jużto urządzono salę jako starożytny teatr, i wystawiano tragedję greką dosłownie przełożoną. To znowu grano komedią Terencyusza w maskach, podług starożytnego wzoru. Wierne tłumaczenia Szekspira grano nazajutrz po wystawie tragedji francuskiej. Ubioro zrobione były jak najdokładniej. Można zatem wyobrazić sobie, z jaką starannością wystawiono Wallenstein, która to sztuka miała stanowić epokę w historii niemieckiego teatru.

Szyller odtąd osiadł w Wejmarze. Tam zupełnie zajęty sztuką dramatyczną, na łonie ukochanej rodziny, otoczony najszczęśliwszemi literatami w Niemczech, był szczęśliwszym niżeli kiedykolwiek w życiu. Powiadają, że jego zażyłość z Goethem tkliwy przedstawiała widok. Szyller miał charakter niespokojny, drażliwy. Zazwyczaj był ponury i potrzebował ruchu i zapału dla ożywienia rozmowy. W prostych stosunkach towarzystwa, okazywał się niekiedy dziwacznym. Goethe znając tę otwartą i namiętną duszę, miał dla niego jak najczulsze względy i usuwał wszystko coby go drażnić mogło.

W krótkim lat przeciągu, wyszła na świat *Dziewica Orleańska*, *Narzeczoną z Messyny* i *Marya Stuart*, oraz tłumaczenia *Ifigenii w Aulidzie* Eurypidesa, *Mahbela* Szekspira, i kilku komedji z francuskiego i włoskiego języka. Dziwną jest rzeczą, iż w *Dziewicy Orleańskiej*, odstąpił Szyller od prawdy historycznej i rzucił się w fantastyczność. Sztuka ta znana jest czytelnikom polskim z przekładu Andrzeja Brodzińskiego, ogłoszonego drukiem i wielokrotnie wystawianego w teatrze. Chociaż zdaje się, że Szyller, trzymając się historyi

byłby znalazł szczytne i rozdierające sceny sądu Joanny, jednakże zaprzeczycie podobna, że cała ta sztuka ożywiona jest najwznioślejszym duchem poetycznym i należy do najcenniejszych utworów sceny niemieckiej.

Narzęczona z Messyny, napisana była na wzór tragedji greckich z chórami. Ale poeta nadając formy starożytne nowoczesnemu przedmiotowi i dzieląc chór na dwie nieprzyjazne strony, zatracił ducha starożytnego i nie dopiął celu. Talent Szyllera wykazuje się pośród błędów układu. Nieawisze dwóch braci odmalowana jest nowym i zajmującym sposobem. Ich pojędanie jest tkliwe i szczerze. Chóry odznaczają się wspaniałą poezją i liczone są do rzędu najpiękniejszych utworów lirycznych.

Marya Stuart, zbliża się bardziej do tragedji francuzkich. Jakże wielka okazuje się różnica, między tą sztuką, a pierwszymi pracami Szyllera, tak co do malowania charakterów jako też znajomości serca ludzkiego! Nowego rodzaju wrażenia teatralne, nadają odrębną cechę Maryi Stuart. W piątym akcie wszelka nadzieja już znikła dla Maryi; ani ona, ani widzowie już nie wątpią o jej losie. Przygotowania niecofnionej śmierci, obraz tak uroczystej chwili, głębiej wzruszają niżeli wszelkie udręczenia rozpaczy. Moralny pomysł tej drammy, wynagrodzenie wielkich błędów przez żal i nieszczęście, zgadza się z tą spokojnością tragiczną, która poprzedza śmierć Maryi.

Pośród prac dramatycznych, Szyller nie opuszczał poezji lirycznych; wielką liczbę znamienitych utworów wydał w owym czasie. Najważniejszym jest *Dzwon*, *Pieśń Kassandry*, *Obchod zwycięstwa*.—Trzy te poezye znają czytelnicy w przekładzie polskim. W poemacie *Dzwon*, opisuje poeta w krótkich wierszach materyalną pracę, przerwy zaś między jedną a drugą robotą, zapełnia myślami pełnymi głębokiej filozofii i wzniosłej poezji, do której użytek dzwonu nasuwa mu przedmioty.

Na wezwanie księcia Wejmarskiego, Szyller wytlómaczył tragedją Rassyna, Fedra, nie chętnie może, ale ze staraniem i prawością, które zachowywał we wszystkich czynnościach. Lecz przekład ten wyszedł dopiero po tragedji *Wilhelm Tell*, ostatniem i najpiękniejszym dziele Szyllera. Zdaniem najuczestniejszych znawców, jest to arcydzieło sceny niemieckiej i w ogólności sztuki dramatycznej. Jest to utwór talentu w całej dojrzałości.

Szyller znajdował się wówczas w najszczęśliwszem i najśrodkiem położeniu. Otoczony chwałą wzrastającą ciągle, przez niego niezaprzeczoną, szczęśliwy w domowym pożyciu, połączony związkami przy-

jażni z najznakomitszymi ludźmi w Niemczech, ciesząc się ich towarzystwem, obsypany dobrodziejstwami księcia, niestety! nie długo używał tych darów losu. Jego siły i zdrowie, szybko nikły. Przeczuwał swój los, a jednakże nie przestawał pracować z zapałem. Nauka była dla niego pociechą nie zaś trudem; powodzenie zachęcało go i nowe wkładało nań obowiązki. Dramatyczne pomysły cisnęły się do jego głowy; z pomiędzy nich najdalej posuniętą była tragedya *Dymitr Samozwaniec*. Znaczne jej ułamki pozostały w papierach Szyllera.

Wówczas to właśnie, kiedy mógł jeszcze wróżyć sobie długi zawód powodzeń i szczęścia, nielitośna śmierć przerwała pasmo tak chlubnego życia. Podróż do Berlina, którą odbył aby zobaczyć wystawę Wilhelma Tella, mocno go utrudziła i powrócił chory. Rodzina i przyjaciele powzięli o niego jak najmocniejszą obawę. Przyszedł cokolwiek do siebie i zajął się literackimi pracami. Przy końcu 1804 r. napisał piękną scenę liryczną na ślub księcia Wejmarskiego następcy tronu z wielką księżniczką Rossyi.

W parę miesięcy potem, zachorował; rozwinęła się słabość piersiowa i umarł na nią 9 Maja 1805 r. Miał dopiero czterdzieści pięć lat. Lekki był zgon jego. Na kilka chwil nim wydał ostatnie tchnienie, pani Wollzogen zapytała go jak się ma: *Coraz to spokojniejszy*: odpowiedział. Była to w rzeczy samej historia jego zgonu, i dla tego tak mocne wzbudza zajęcie. Jak zapakaja i podnosi umysł, obraz ciągłego postępu tej gorejącej i wzburzonej duszy ku religii cnocie i szczęściu! Jakże nauzcującym jest przykład tak czynnego umysłu, który wychowauy z razu w zasadach moralności i pobożności, oburza się w wieku młodzieńczym przeciw przymusowi, śmie na wszystko powstawać, wszystkim pogardzać, a potem, doznawszy w tej walce samych tylko udręczeń, zwrócony zostaje, nie za wpływem władzy i obawy, lecz siłą rozumu i natchnieniem serca, do źródła wszelkiego spokoju, i w miarę jak tą zbawienną postępuje drogą, powiedziéć może z sumiennem przekonaniem, „*Coraz jestem spokojniejszym*.“ Jest to gołębicą, która porzuciwszy arkę, i długo błądząc nad wodami przepaści, nigdzie zatrzymać się nie może i do boskiego schronienia powraca.

Szyller chciał ażeby go pochowano bez przepychu. W nocy zawieziono jego zwłoki do grobu; towarzyszył im orszak przyjaciół i młodzieży, oddali oni hołd temu, którego życie i pienia, wzbudziły w nich zapał do szczytności i cnoty. Opowiadają, że

podczas pogrzebu niebo okryte było chmurami, lecz w chwili gdy już ciało miano spuszczać do grobu, wieżyc pokazał się i blademi promieniami oświecił grobowiec poety.

Po ukończeniu tego zarysu życia jednego z największych poetów, prawdziwą przyjemność uczynim naszym czytelnikom, umieszczając w pięknym przekładzie, wiersz Szyllera, *Godność kobiet*, w którym poeta stawiając obok siebie odmienny zawód mężczyzny i kobiety, maluje go odmienną miarą wiersza, tak, aby ta różnica powołania wydatną była razem dla myśli i dla ucha.

GODNOŚĆ KOBIEC.

Czczycie kobietę, ona ziemskie lata,
Niebieskich pociech różami przeplata,
Jéj dłonie wieniec miłości nam wija;
Ona pod skromną Gracyi zasłona,
Żywi starannie iskrę niezgaszoną
Najświętszych uczuć, co w jéj sercu żyją.

Z rzeczywistych krańców świata,
Wiecznie dziki mąż wylata,
I po namiętności toni,
Niespokojne myśli goni.
Serce niczém nieskojone,
Gdzieś w daleką leci stronę,
Gdzieś po gwiazdach, bez wytchnienia
Ściaga marę ułudzenia.

Ale kobiety wejrzeń urok błogi,
Sprowadza zbiega z płonnej marzeń drogi,
Na rzeczywisty ślad ziemskiego życia;
Prostéj natury wychowanka miła,
Skromnych zwyczajów matki nie zmieniła
Śród ścian rodzinnych lubego ukrycia.

Niespokojne męża ramie,
Zgubną siłą wszystko łamie;
Dziki, idzie bez wytchnienia
Ścisną drogą przeznaczenia;
Co dziś stworzył, jutro kruszy,
A chuć wiecznie walczy w duszy,
Wiecznie, jako hydry głowa,
Z zgonem jednéj, rośnie nowa.

▲ kobieta kochająca, tkliwa,
Chwilowe kwiaty, cichszej chwały zrywa,
A pod jéj ręką żaden kwiat nie ginie:
Wolniej działając, choć w szczupłym zakresie,

Bogatsze plony i słodsze odniesie,
Bo się nie gubi po marzeń krainie!

Dumnym myślom mąż oddany,
Nie zna słodkiej dusz zamiany,
Nigdy w zimném jego łonie,
Boska miłość nie zapłonie;
Dłoń nie zdrży w lubéj dłoni,
Łzy czułości nie uroni,
Bo przez ciągłe w życiu boje,
Zbyt zhartował serce swoje.

Ale jak harfa, od Zefirów tchnienia
Ledwie wzbudzona, boskie roni brzmienia,
Dusza kobiety w nieszczęścia godzinie,
Za każdéj troski lekkim udręczeniem,
Cichém się w łonie ozywa westchnieniem,
Lub w łzach perłowych na lica wypłynie.

W wszystkich krokach, czynach, męża,
Dzika przemoc przewycięża;
Ledwo z mieczem wyszli społem,
Pers przed Scytą bije czołem.
Namiętności rozkiełznane,
Walczą z sobą naprzemianę;
I tam huczy trąba wojny
Gdzie brzmiał dziewic śpiew spokojny.

Ale kobieta, nęgła, trwożliwa,
Cnotą zwycięża, prośbą przekonywa,
Sklania do zgody umysły zawzięte:
Jéj głos, szalonej zemsty uniesienia
Na tkliwy uścisk miłości zamienia,
Niezgodne dłonie, łącząc w węzły święte.

CENA PRENUMERATY MUZEUM DOMOWEGO.

w Warszawie, w KANTORZE GŁOWNYM w xiegarni F. S. Dmochowskiego przy ulicy Miodowej Nro 497. oraz w innych xiegarniach i Kantorach, rocznie złp. 18. półrocznie, złp. 10. na Prowincyi, w Urzędach Pocztowych i po xiegarniach, rocznie zł. 24. półrocznie złp. 13.

Można także prenumerować na Urzędach Pocztowych i następujących xiegarzy.

w Kaliszu u Jahnischa.
w Radomiu w xiegarni tam tejszój.
w Lublinie u Streibla.
w Poznaniu u T. Scherka.
w Krakowie u Friedleja i Czecha.
w Wilnie u Zawadzkiego.
tamże u T. Glücksberga.
w Winnicy na Podolu i)
w Kamieńcu Podolskim.) w xiegarniach bra ci Lechów.

Osoby prywatne na prowincyi zamieszkałe, któreby racyły dopomódz upowszechnieniu przytecznych nauk, przez zatrudnienie się zbieraniem prenumeraty, otrzymują na 10 exemplarzach listy gratis.